

EUGENIUSZ TOMCZAK

SZACUNEK DLA FAKTÓW. REFLEKSJE PRZY LEKTURZE
KSIĄŻKI ANDRZEJA KOKOWSKIEGO *STAROŻYTNA POLSKA*

RESPECT FOR FACTS. REFLECTION ON READING THE BOOK
STAROŻYTNA POLSKA (ANCIENT POLAND) BY ANDRZEJ KOKOWSKI

The author questions the interpretation of the discoveries at the settlement in Imielin and considers unfounded some views on iron metallurgy presented by A. Kokowski in the book *Starożytna Polska (Ancient Poland)*.

KEY WORDS: discussion – interpretation – the settlement in Imielin

Asumpt do napisania niniejszych uwag dała wydana w 2005 roku książka Andrzeja Kokowskiego zatytułowana *Starożytna Polska*, a ściślej jej fragmenty poświęcone osadom w rozdziale *Kultura przeworska po wielkich wojnach* i problematyce starożytnego hutnictwa. Z zainteresowaniem przeczytałem to obszerne dzieło omawiające kilka wieków naszych pradziejów, a mianowicie okres od trzeciego stulecia przed narodzeniem Chrystusa do końca starożytności. Moja wiedza nie jest tak rozległa, abym podejmował dyskusję o wszystkich problemach tam poruszonych z autorem, profesorem Instytutu Archeologii Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, znawcą tych cza-

sów. Nie mogę jednak nie ustosunkować się do tej części książki, w której znalazły się sformułowania dotyczące osady kultury przeworskiej w Imielinie. Stanowisko to przebadalem w całości w latach 1984-1985, a jego monografia ukazała się drukiem w 1993 roku w trzynastym zeszycie „Rocznika Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu” w serii Archeologia. Tam też, jak mi się wydaje, zostały w miarę wyczerpująco omówione wszystkie obiekty nieruchome, o których będzie tutaj mowa.

W jednym z fragmentów książki Kokowski rozwija różne wątki, „nie szczędząc ryzyka interpretacji”. Jak się okazuje, również w przypadku osady w Imielinie nie szczędził takiego ryzyka. Ono jed-

nak doprowadziło autora do całkowitego zatracenia poczucia rzeczywistości. Z tego samego powodu na innych stronach książki pojawiło się wiele znaczących błędów. Przeglądając się różnym obiektom i ich inwentarzom, autor dochodził czasami, jak się wyraził, „do zupełnie odmiennych wniosków” od dotychczas prezentowanych. Miał takie prawo. Ale z prawa należy umiejętnie korzystać. Ignorowanie istniejącego materiału dowodowego uniemożliwia pełne rozeznanie sytuacji i prowadzi do błędnych wniosków. Jednym z przykładów jest właśnie historia osady w Imielinie. Analizując zabudowę osady, Kokowski dostrzegł w miejscu wysypiska odpadów produkcyjnych budowlę (obiekt 101). I to nie taką zwykłą, ale największą, zadaszoną. Pod względem funkcji porównał ją nawet ze znaną w Wólce Łasieckiej, powiat skierniewicki, której przeznaczenia do dziś nie wyjaśniono. Ponieważ niektórzy uważali ją za dom zebrań, Kokowski przejął tę pasującą do jego ogólnej koncepcji rozplanowania osady imielińskiej interpretację, uznając właśnie obiekt 101 za miejsce spotkań gromadnych. Chyba intuicja autora odegrała tu decydującą rolę, ponieważ nie uzasadnił on, dlaczego akurat w tym obiekcie odbywały się spotkania mieszkańców wioski. Ot po prostu spotykali się i już. Prawie nic nie napisał o konstrukcji budowli, poza tym, że była zadaszona. Co go do wspomnianej interpretacji przekonało, nie wiadomo. Rad bym, na przykład, dowiedzieć się, czy zwały wypalonych skał dolomitowych wypełniające w mniejszym bądź większym stopniu ten obiekt pomagały mieszkańcom tam obradującym w podejmowaniu według autora najważniejszych decyzji lub w – jak pisze dalej – uprzyjemnianiu sobie czasu i przyjmowaniu gości. Śmiem się z tym nie zgodzić i nie szczędząc, podobnie jak Kokowski, ryzyka interpretacji, stwierdzam, że z pewnością chodzono po rozgrzanych ułamkach dolomitu dopiero co wyciągniętych z pieców, a gościom proponowano pomoc w selekcjonowaniu co lepszych kawałków, częstując przy tym mięsivem, po którym pozostały liczne odpadki (kości zwierząt). Fantazjowanie o sposobach uprzyjemniania sobie (i innym) czasu (przez dawnych przodków naszych, w zamierzonych wiekach, w takim miejscu) może być zajęciem miłym i pożytecznym. Jednak stworzone obrazy mocą wyobraźni autora nie poparte konkretnymi dowodami nie mają żadnej wartości naukowej. Eksplorując ten obiekt, chodząc po odłamkach wyprażonego dolomitu i zastanawiając się, jakie było jego przeznaczenie, niestety, nie zdo-

łałem wpaść na pomysł, że stał tu u schyłku starożytności okazały budynek. Nadal twierdzę, że wymieniona jama nie ma nic wspólnego z jakąkolwiek budowlą. Było to obszerne, stosunkowo płytkie zagłębienie, wypełnione odpadkami produkcyjnymi, czyli wyprażonymi okruchami dolomitu (Tomczak 1993, 71-72). Jeśli w tym obiekcie gromadzili się ludzie, to chyba wyłącznie po to, aby składować odpady. Nie rozumiem nie tylko kuriozalnej interpretacji autora, przytoczonej bez jakiegokolwiek uzasadnienia, ale także związku budowli słupowej z Wólki Łasieckiej z rzekomo największą budowlą w Imielinie. Mają się one tak do siebie, jak przysłowiowy piernik do wiatraka.

O tym, że Kokowski nie zapoznał się dokładnie z dokumentacją osady imielińskiej, świadczą też inne stwierdzenia, np. te dotyczące domostw i jam na osadzie odkrytych. Można chyba przyjąć, że opisując osadę, autor miał przed sobą jedynie plan, nie pofatygował się natomiast skonfrontować go z opisami poszczególnych obiektów. Pisze mianowicie, że „wyraźnie mniejsze, mieszkalne półziemianki, tworzyły dwa skupienia – po pięć, po obu stronach” [największej budowli – podkr. moje]. Trudno tu znowu dociec, o jakich obiektach autor myślał, ponieważ ich numery nie zostały wymienione. We wstępnym sprawozdaniu z badań w Imielinie uznałem, że trzy obiekty były półziemiankami o konstrukcji słupowej, a pięć prawdopodobnie bliżej nierozpoznanych zabudowaniami. W monografii osady natomiast w dwóch z pięciu dotychczas nierozpoznanych nie dopatrzyłem się resztek zabudowań. Można byłoby przypuszczać, że coś podczas analizowania materiałów przeoczyłem, ponieważ do zabudowań zakwalifikowałem tylko pozostałości sześciu obiektów. Kokowski widzi ich jedenaście (łącznie z domniemanym domem zebrań). Mało tego. Jego zdaniem gdzieś przy nich były najprawdopodobniej spichlerze. I znowu spostrzegawczość autora mnie zdumiewa, bowiem żadnej z jam nie umiałem do nich przypasować. Konsekwencją wyróżnienia przez Kokowskiego dziesięciu budynków (poza omawianym największym) jest oczywiście domniemanie co do liczby rodzin zamieszkujących osiedle, miałyby ich być dziesięć. Problem tylko w tym, że ma się to znowu nijak do rzeczywistości.

Przejdźmy teraz do rozważań o ogniu. Imielińskie piece odkryte w liczbie 224 to zdaniem Kokowskiego nic innego jak paleniska układane z kamieni, „na których najpewniej przygotowywano stra-

wę”. Do ich przygotowania niezbędny był ogień: „starano się więc bronić przed zagrożeniem pożaru i czyniono to najprostszym sposobem – odsuwając źródła ognia możliwie daleko od łatwopalnych, drewnianych zabudowań”. I tu autor koncepcji powyższej podaje ich odległość – około 7-10 metrów od chat. To kolejne nieporozumienie. Z planu bowiem jasno wynika, że odległość piecowiska od najdalej na północ wysuniętego domostwa wynosiła nie 7-10, lecz 40 metrów, co podałem w analizie piecowisk w monografii imielińskiej. Nie można kwestionować zagrożenia pożarowego w tamtych czasach i na pewno często dochodziło do spalenia chat. Nie można też jednak twierdzić, że zawsze odsuwano źródła ognia jak najdalej od zabudowań, zwłaszcza jeśli chodzi o przygotowanie posiłków. Przeczą temu po pierwsze odkrywane na wielu osadach paleniska ulokowane w budynkach bądź w ich bliskim sąsiedztwie. Należy przyjąć, że znano również sposoby, aby się uchronić przed zaproszeniem ognia. Kokowski uważa, że jamy tworzące szeregi w Imielinie to paleniska przeznaczone do przygotowywania potraw. Te rzekome paleniska zostały przeze mnie dokładnie opisane. I nie są to żadne paleniska, ale piece, co również zostało udokumentowane. I nie były układane z kamieni, zawierały jedynie odłamki dolomitu (co również zostało obszernie opisane), a tego faktu nie dostrzegł Kokowski. Gdyby się przyjrzał zdjęciom pieców, nie mógłby tak twierdzić. Kapitalnym dowodem jest przekrój pieca (obiekt 82), który nie pozostawia żadnej wątpliwości co do jego funkcji, a tym samym pozostałych 223 jam wchodzących w skład trzech ciągów produkcyjnych odsłoniętych na osadzie. Po paleniskach służących do przyrządzania potraw zachowują się jamy z wypełniskami zabarwionymi węglem drzewnym i często ze splekanymi od ognia kamieniami. Nie ma wokół nich przepalonego na grubości od kilku do kilkunastu centymetrów calca, ze zrozumiałych powodów. Tam, gdzie wokół jamy występuje warstwa zabarwiona na czerwono wskutek oddziaływania wysokiej temperatury (a tak było m.in. w Imielinie), musimy przyjąć, że dochodziło w niej do wypalania lub wyprażania jakichś skał bądź innych surowców. Przykładem mogą być piece do wyprażania rudy na stanowiskach hutniczych. W Imielinie można stwierdzić, że prażono skałę dolomitową. Może uzyskiwano z niej wapno. Aby nie przesądzać o przeznaczeniu pieców, nazwano je piecami prażalniczymi, a nie wapienniczymi. Paleniska nie wchodziły tu w rachubę. Komu potrzebne

byłyby ciągi palenisk służących zwykłemu przygotowywaniu potraw? Całkowicie nietrafne więc są interpretacje wymienianych przez autora koncentracji rzekomych palenisk na innych osadach. Najczęściej pozostałości charakterystycznych jam zaliczanych do palenisk były związane z działalnością produkcyjną. Na pewno nie można ich łączyć z tak pospolitymi czynnościami, jak przygotowanie strawy, gdyż te czynności zostawiają zupełnie inne ślady. Archeolodzy, niestety, nie radzą sobie z wyjaśnieniem ich funkcji. Czasami dostrzegają różnice, jednak w końcu i tak obstają przy paleniskach.

Chciałbym się też w tym miejscu ustosunkować skrótowo do innych poglądów Kokowskiego przedstawionych w tym samym rozdziale. Nie są to jego własne koncepcje, powtarza je on za innymi badaczami, niestety, bezkrytycznie. Na półtorej strony książki zajął się jedną z najważniejszych ówczesnych dziedzin wytwórczości, mianowicie hutnictwem żelaza. Stwierdził, że na Śląsku ośrodki metalurgiczne osiągnęły „szczyt produkcyjny” w IV wieku i trwały „przynajmniej do połowy V wieku”. Nie zastrzegł się jednak, że nie wszędzie, a tylko w niektórych rejonach. Kokowski myli też niektóre pojęcia. Co miał na myśli, pisząc o nowych, mało dotąd znanych technikach i technologiach pozyskiwania surowca i ich związku z piecem do wytapiania żelaza w Tarchalicach, trudno się domyślić. Podobno wynikiem ich miał być m.in. piec „tak zwany typ Tarchalice, odmienny od stosowanego w zagłębiu świętokrzyskim”. I tu autor popełnia kolejny kardynalny błąd. Jest to ten sam typ pieca, czyli piec dymarski zagłębiowy typu kotlinkowego, który występuje nie tylko w Górach Świętokrzyskich, ale również w innych centrach metalurgicznych na obszarze naszego kraju, a różni się tylko optymalną dla tego pieca wielkością oraz niespotykanym nigdzie poza Tarchalicami w powiecie wołowskim (przynajmniej do tej pory) szczegółem: palikami wzmacniającymi ściany boczne kotlinki. Ten detal konstrukcyjny dolnej części pieca nie może przemawiać za odmiennością typu pieca dymarskiego, a co najwyżej za lokalnym zróżnicowaniem dotyczącym jednej z jego części.

Nie można też przesadzać z rewelacjami na temat warsztatów produkujących narzędzia lub broń. Rozpoznanie ich jest bardzo trudne. Odkrycia w rejonie brzeskim nie doczekały się krytycznej oceny. Interpretacja większości jam tam zbadanych, a następnie na tej podstawie wyciągane wnioski budzą poważne wątpliwości. Autor przypisuje

starożytnemu dymarzowi stosowanie podczas wytapiania, obok rudy i węgla drzewnego, również znacznych ilości wapna, podczas gdy badania metaloznawcze i analizy żużła dymarskiego nie tylko dla ziem polskich – gdzie używano poza Górami Świętokrzyskimi miejscowych rud darniowych (niskotopliwych) – nie wskazują na zwiększone ilości tego pierwiastka. Tlenki zasadowe takie jak CaO i MgO, odgrywające we współczesnym procesie wielkopieczowym podstawową rolę, ówczesnemu dymarzowi nie były znane (to samo dotyczy znaczenia takiego topnika jak wapień i jego wpływu na przebieg ówczesnego procesu dymarskiego). Dodać można, że w starożytnym okręgu dymarskim Gór Świętokrzyskich nie odkryto dotychczas śladów pieców wapienniczych. O braku rozeznania Kokowskiego w zakresie metalurgii starożytnej świadczy też określanie czynności zmierzającej do wyprodukowania łupy żelaznej wypałem zamiast wytopem. Brakuje jakichkolwiek dowodów na to, że w regionie brzeskim piece dymarskie miały wysokość 1,5 m, a ich „pojemność była ośmiokrotnie większa od pojemności części szybowej pieca kottlinkowego, stosowanego w środkowym okresie rzymskim w świętokrzyskim zagłębiu żelaza”. Na dobrą sprawę w rejonie brzeskim nie zachował się żaden piec *in situ*, więc takie wyliczenia nie mają jakiegokolwiek sensu. A już wręcz zakrawa na kpinę twierdzenie, że „samo miejsce sytuowania pieca (a może sam piec) wykorzystywane było nawet kilkadziesiąt razy”. Przytaczane wyliczenia o wielkości produkcji na omawianym obszarze i zapotrzebowaniu na żelazo mają bardzo kruche podstawy, obarczone są tak wieloma znakami zapytania, że można je przyjmować najwyżej z przymrużeniem oka. Nie ma także żadnych dowodów, przynajmniej na razie, aby skupienie opolsko-strzeleckie stanowiło zaplecze surowcowe dla mieszkańców Płaskowyzu Głubczyckiego. W pobliżu Opola produkowano żelazo głównie na własne potrzeby. Płaskowyz Głubczycki jest dosyć słabo rozpoznany pod tym względem.

Jeśli jest tak wiele wątpliwości co do brzeskiego okręgu hutniczego, rozważania Kokowskiego o jego strukturach organizacji przestrzennej, pracowniach i kuźniach są co najmniej przedwczesne. Skąd też pewność autora, że w kuźniach przekuwano żelazo na kamiennych kowadłach? Że owe kowadła używane były do tego typu czynności. A czy rzekome wielkie, pojedyncze piece, stamtąd pochodzące, mogły zastąpić piecowiska mazowiec-

kie i świętokrzyskie? To zupełnie inne uwarunkowania, nie ta skala i chyba nie takie były intencje hutników brzeskich. Wykorzystywali też tylko wiedzę im współczesną, a nie byli jakąś enklawą działalności dymarskiej mającą do dyspozycji nieznaną do tej pory na ziemiach polskich typ pieca.

Nie sposób nie odnieść się też do sporych niedokładności, na które pozwolił sobie autor, gdy na stronie 256 rozpoczyna relację o okresie poprzedzającym wybuch wojen markomańskich. Podaje mianowicie, że wokół świętokrzyskich złóż rud żelaza pracowało w okresie do połowy III wieku po Chrystusie co najmniej 6 tysięcy pieców hutniczych i według niego każdy produkował 20-25 kg żelaza. Powołując się na specjalistów podaje, że cały ośrodek świętokrzyski mógł dostarczać 4-5 tys. ton żelaza. Usiłując ukazać czytelnikowi ogrom tej produkcji, wyjaśnia, że „gdyby ludność kultury przeworskiej potrafiła wykuwać miecze, to miałyby ich do dyspozycji około 15 000 tys.” z wykrzyknikiem. Pozostawiając na boku zagadnienie, czy kowale kultury przeworskiej tej umiejętności nie posiadali, tu czytelnik ma prawo sądzić, że Kokowski liczbę mieczy wyliczył z całości owej przytaczanej za nieujawnionymi specjalistami produkcji. Dla ścisłości powinien również podać, jaki przy wyliczeniu przyjął ciężar jednego miecza. Pochodzące z wykopalisk rzymskie miecze ważą około 0,7 kg. Gdyby przyjął najogólniej ich wagę na około 1 kg, podana przez niego liczba 15 tysięcy to zaledwie ułamek owej produkcji przyjętej za specjalistami.

Stąd też przy tak wielkim nieporozumieniu, bez większego sensu pozostają dalsze dywagacje autora o przeliczaniu tej produkcji na groty włóczni i oszczepów, elementów tarcz, czy też utrzymanie wielotysięcznej armii. Zaiśniało tu być może jakieś nieporozumienie pomiędzy terminami piec i piecowisko, a to zasadnicza różnica.

Równie bałamutnie pisze autor o sprawach technicznych wytopu żelaza, a mianowicie o glinianym kominie średnicy około 70 cm i wysokości około 2 metry. Dalej o wsadzie wzbogaconym wapnem i z podłączonym, zdaniem autora, miechem, wreszcie o otrzymanym żelaznym półsurowcu wymagającym mozolnego czyszczenia, mimo że krakowscy naukowcy od kilku już lat po wyróżnieniu na klocu żużła powierzchni swobodnego krzepnięcia potwierdzili uzyskiwanie w tym piecu dymarskim odżużlonej łupki żelaza jakości kowalnej. Tu autor do produktu czyszczenia dodaje jeszcze szlaki (!?), by w końcu obok „rozłupanego komina”

od znajdującego się tu kłoca żużla „odbijać żelazną łupę” oraz męczyć się nad odzyskaniem znacznych ilości znajdującego się w kłocu „trudnego do odzyskania żelaza”. Nie koniec na tym, bowiem badacze starożytnego hutnictwa świętokrzyskiego dowiedzą się jeszcze o wcześniejszym wyprażaniu przez ówczesnych dymarzy „w kamiennych piecach wapnia w celu uzyskania topnika”. W końcowym fragmencie relacji o hutnictwie świętokrzyskim Kokowski proponuje hutnikom pruszkowskim, by po upadku ich ośrodka w Górach Świętokrzyskich podjęli „bardziej efektywną produkcję opierając się na złożach, które dotąd nie były eksploatowane”.

Po tej krótkiej lekturze z przykrością trzeba stwierdzić, że dzisiaj, po ponad półwiekowych badaniach archeologicznych i metalurgicznych oraz dyskusji i ustaleń dotyczących problematyki starożytnego żelaza w Górach Świętokrzyskich, gdy nie ma żadnych dowodów na dmuch sztuczny, gdy ostatnie prace archeologów i metalurgów krakowskich ujawniają nadzwyczajne osiągnięcia dymarzy świętokrzyskich wskazujące na uzyskanie odżużlonej w tym procesie łupki żelaza dymarskiego, autor tak lekko serwuje m.in. stare, dawno zdezaktualizowane pomysły, potwierdzając przy tym swoją niekompetencję. Szkoda też, iż nie zauważył, że dymarze pruszkowscy reprezentują całkiem inną filozofię pracy, odmienną organizację warsztatu i produkcji. Przy tym w Górach Świętokrzyskich istniało hutnictwo wcześniejsze, współczesne mazowieckiemu, które dało początek nieco późniejszemu o charakterze wysoce zorganizowanym prowadzącym do produkcji na dużą skalę.

Przy tak ogólnym spojrzeniu w zakresie wielu dziedzin, m.in. problematyki historycznej, technicznej, a także przyrodniczej powinno się podawać nazwiska badaczy, których opracowania zostały wykorzystane. W niektórych miejscach autor to czynił, w innych nie. I tak przykładowo na s. 258 odwołał się do zdania owych nieujawnionych specjalistów jakoby „cały ośrodek świętokrzyski mógł dostarczać 4-5 tys. ton żelaza”. W drugim wydaniu książki o starożytnym górnictwie i hutnictwie świętokrzyskim Kazimierz Bielenin po przeprowadzonej pierwszej ogólnej inwentaryzacji stanowisk żużla tego regionu metodą wywiadu ustnego z wszystkimi rolnikami, globalną produkcję wyliczył na po-

nad 8 tys. ton (Bielenin 1992, 185). Natomiast późniejsza inwentaryzacja Szymona Orzechowskiego i Tomasza Wichmana wykonana metodą badań powierzchniowych AZP mogła tę produkcję podwyższyć do około 11 tys. ton żelaza jakości handlowej (Orzechowski, Wichman 2006, 88). Przytoczony przykład pozostawiam bez komentarza.

W zakończeniu tej opowieści o starożytnym hutnictwie świętokrzyskim zwrócić należałoby jeszcze uwagę na używany przez autora niewłaściwy termin – ośrodek. Byłoby to uzasadnione, gdyby chodziło o rzemiosło, którego wytwórczość stwierdzono na jednym czy kilku stanowiskach w tej samej i ewentualnie sąsiednich miejscowościach. Dziwi, że tej rangi badacz nie dostrzega tu różnicy terytorialnej zjawiska, w przypadku, gdy obejmuje ono cały region, zarówno świętokrzyski, jak i mazowiecki.

Lektura książki zatytułowanej *Starożytna Polska* wywołuje mieszane odczucia. Książka wzbudza zainteresowanie, zawiera jednak – obok cennych i wiarygodnych – informacje słabo udokumentowane, niepotwierdzone. Na zaledwie kilku wybranych stronach tego obszernego dzieła autor dość niefrasobliwie traktując dostępny materiał badawczy, wielokrotnie mijał się z prawdą. Przedstawił też niezbyt fortunne, żeby nie powiedzieć wymyślone, interpretacje dotyczące osady w Imielinie, nie przytaczając bardziej wiarygodnych, a co do metalurgii żelaza bezkrytycznie powtarzał za innymi badaczami ich mało przekonujące i nie znajdujące oparcia w dokumentacji poglądy.

BIBLIOGRAFIA

- Bielenin K. 1992. *Starożytne górnictwo i hutnictwo żelaza w Górach Świętokrzyskich*. Kielce.
- Orzechowski S., Wichman T. 2006. Badania powierzchniowe na obszarze świętokrzyskiego centrum hutniczego – próba oszacowania liczby stanowisk produkcyjnych. (W:) S. Orzechowski, I. Suliga (red.), *50 lat badań nad starożytnym hutnictwem świętokrzyskim. Archeologia – metalurgia – edukacja*. Kielce, 75-89.
- Tomeczak E. 1993. Materiały z osady z późnego okresu rzymskiego w Mysłowicach-Imielinie, woj. Katowice, stanowisko 16. *Rocznik Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu. Archeologia* 13, 7-132.

RESPECT FOR FACTS. REFLECTION ON READING THE BOOK *STAROŻYTNA
POLSKA (ANCIENT POLAND)* BY ANDRZEJ KOKOWSKI

SUMMARY

The book entitled *Starożytna Polska (Ancient Poland)* by Andrzej Kokowski, published in 2005, has given rise to these comments – strictly speaking the fragments devoted to settlements in the chapter *Kultura przeworska po wielkich wojnach (The Przeworsk culture after great wars)* and to problems of ancient metallurgy.

The reading of this extensive book, discussing several centuries of our prehistory, namely the period from the third century before Christ to the end of antiquity, evokes mixed feelings. The book arouses interest, but it also includes – apart from some valuable and reliable – poorly docu-

mented, unconfirmed pieces of information. On just a few selected pages of the book, the author repeatedly departs from the truth, rather nonchalantly treating the available research material. He presented rather unfortunate, not to say invented interpretations of the settlement in Imielin (among others, he interpreted a feature filled with production waste as a building and remains of calcining kilns as fireplaces) and he did not quote more reliable interpretations. And as regards iron metallurgy, he uncritically repeated after other researchers their unconvincing views, not founded on the documentation.

Adres Autora:

Mgr Eugeniusz Tomczak
ul. Zgrzebnioka 16/1
40-520 Katowice
eutomczak@gmail.com